

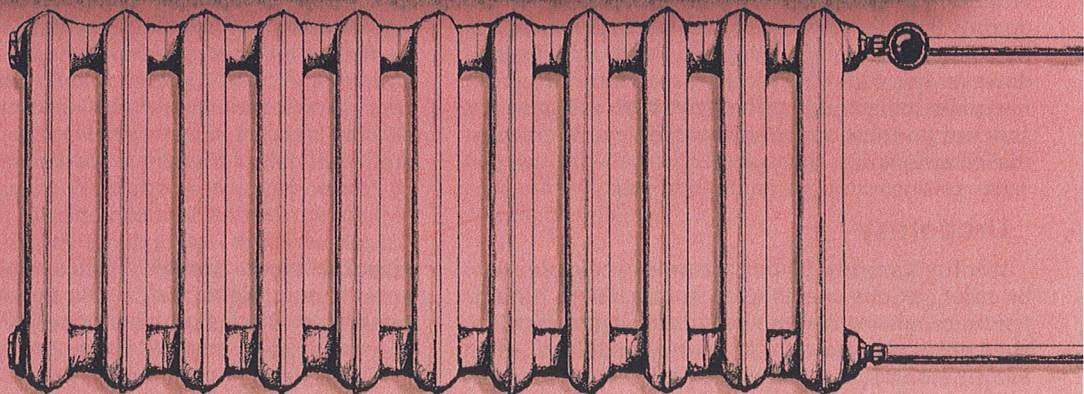
Nie czytałeś?

ja
my
oni

Nie przeocz

Mogę na dwór, mamo!

Co wolą Polacy – skandynawską wolność
czy amerykańską niewolę.



AGNIESZKA KRZEMIŃSKA, RYSUNEK MIROŚLAW GRYŃ

Szwedka Linada Åkeson McGurk nie wyobraża sobie, by jej córki nie wyszły raz dziennie na dwór, nawet jeśli zimno i słońca. Bo że nie ma złej pogody na spacer, tylko źle dobrane ubrania, i że przebywanie na dworze to zdrowie i dobre samopoczucie, wie każda skandynawska matka. Ze swoimi zwyczajami McGurk była sama jak palec, mieszka bowiem w stanie Indiana w USA. A tam chęć chronienia dzieci przed czyhającymi poza domem niebezpieczeństwami oraz wygoda sprawiają, że kontakt z naturą ogranicza się do oglądania jej zza szyby. Więc gdy Linda szła do przedszkola z córkami, zamiast wsadzić je do samochodu, proponowano jej podwózkę. Złitości i troski o dzieci, bo myśl, że przechadzka jest zaplanowana, wydawała się Amerykanom szaleństwem.

Zderzenie dwóch kultur było dla promującej ekologię i zdrowy tryb życia dziennikarki ciekawe. Na napisanie książki „Nie ma złej pogody na spacer” zdecydowała się, gdy za taplanie się córek w strumieniu w rezerwacie przyrody dostała mandat i została pouczone, że naraża zdrowie dzieci, bo woda może być skażona. Gdy opisała sytuację na blogu, przyszły listy od czytelników – jedni rozumieli jej oburzenie, inni nazwali ją złą matką, która nie przestrzega prawa i zaniedbuje córki. Ale i tak się jej upiekło – w 1997 r. Anette Sorensen i jej partnera aresztowano za zostawienie córki w wózku przed restauracją. Coś, co jest normalne w Sztokholmie, w Nowym Jorku uznano za karygodne. Po 4 dniach dziecko wróciło do rodziców, a zarzuty oddalono, ale – jak pisze Linda – „wywołało to dyskusje po obydwu stronach Atlantyku, bo jedni obsesyjnie podchodzą do kwestii korzystania ze świeżego powietrza i zdrowia, a inni do kwestii bezpieczeństwa”.

Hartowanie przez werandowanie

Według badań prowadzonych na University of Kansas przebywanie na świeżym powietrzu rozwija nie tylko sprawność fizyczną, ale i mózg

małych dzieci. Według innych zorganizowane zajęcia sportowe są mniej efektywne ruchowo niż zabawa z rówieśnikami na dworze. Mimo to amerykańskie dzieci mało wychodzą na dwór – zarówno z rodzicami, jak i w szkołach. Głównie przez presję „wyścigu szczurów” oraz strach, że w razie wypadku szkoła będzie ciągnana po sądach. Stąd m.in. w USA pląga otyłości, krótkowzroczności, alergii. Nic dziwnego, że książka „Ostatnie dziecko lasu: jak uchronić nasze dzieci przed zespołem deficytu natury” Richarda Louv była objawieniem dla Amerykanów. Ale nie dla Skandynawów, którzy potrzebę natury mają we krwi. **Henrik Ibsen nazwał ją *friluftsliv* – stylem życia skoncentrowanym wokół przyrody.**

Pogodowy ekstremizm skandynawskich rodziców bierze się stąd, że gdyby czekali na ładną aurę przez większą część roku, nie wychodziliby z domów. Stąd **hartowanie dzieci od urodzenia, poczynając od ich werandowania nawet przy minus 14 st. C** (fińskie badania dowodzą, że te sypiące na zewnątrz są aktywniejsze, lepiej jedzą i mniej chorują). Skandynawskie dzieci, biegając po dworze, są umorusane, bo uważa się, że kontakt z bakteriami je uodparnia, a poza tym to gwarant poczucia szczęścia i kreatywności. I faktycznie z **badania Olgi Jarrett z University of Georgia wynika, że przerwy na wolnym powietrzu rozwijają społecznie, fizycznie i stymulują pracę intelektualną.**

A jak to wygląda u nas? Według prof. Wandy Hajnicz z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie jesteśmy gdzieś pośrodku. – *Miejskie parki pełne są dzieci, co zbliża nas do Skandynawów, ale pogoda jest dla nas czynnikiem hamującym. Poza tym Skandynawowie więcej z dziećmi chodzą, polscy rodzice okupują ławki na placach zabaw, co znowu jest modelem brytyjskim zabawy pod okiem dorosłych. Ale z prowadzonych w naszej akademii badań dotyczących kontaktów rówieśniczych wynika, że w małych miejscowościach dzieci nadal wychodzą na dwór, by bawić się z kolegami, nadal też wyjść z domu i zajęcia sportowe są również atrakcyjne jak gry komputerowe.*

LINDA ÅKESON MCGURK jest mieszkającą w USA szwedzką dziennikarką, miłośniczką przyrody. O nieznanym amerykańskim rodzicom potrzebie kontaktu z naturą przy każdej pogodzie pisała w prasie i na portalach internetowych („Outdoor Families Magazine”, „Childhood 101”, „Green Child Magazine”), a od 2013 r. na swoim blogu „Rain or Shine Mamma”. Popularnonaukowy poradnik „Nie ma złej pogody na spacer. Tajemnice szwedzkiego wychowania dzieci” (Wydawnictwo Literackie, 2018 r., I wydanie, tłumaczenie: Izabella Mazurek, tytuł oryginalny: „There’s No Such Thing as Bad Weather: A Scandinavian Mom’s Secrets for Raising Healthy, Resilient, and Confident Kids (from Friluftsliv to Hygge)”) to jej debiut książkowy, rezultat wieloletnich obserwacji oraz zebranych badań na temat tego, jak ważne przy wychowaniu i rozwoju dziecka jest przebywanie na świeżym powietrzu.



→ Słodki smak ryzyka

W słabo zaludnionej Skandynawii zaufanie społeczne jest na wysokim poziomie, więc aż 74 proc. uczniów chodzi do szkoły na piechotę albo jeździ rowerem. To czyni je jednymi z najaktywniejszych na świecie, a dzieci z nadwagą jest tam 6 razy mniej niż w USA. Poza tym Skandynawowie są przekonani, że dzieciom należy pozwalać na odrobinę ryzyka. Prof. Ellen Sandseter z Norwegian University of Science and Technology w Trondheim wykazała, że ryzykowne zabawy (na wysokosciach, w pobliżu żywołów czy z niebezpiecznymi narzędziami) lepiej wpływają na zdrowie niż ich unikanie. Ograniczanie ryzyka hamuje bowiem samodzielność w poszukiwaniu rozwiązań, a ta jest niezbędna do prawidłowego rozwoju fizycznego i psychicznego. Ofiary są zazwyczaj niewielkie, np. poobijane i pełne plastrów nogi i łokcie.

Prof. Ligię Tuszyńską z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie i autorkę właśnie wydanej książki „Pedagogika zrównoważonego rozwoju z przyrodą w tle” zdziwiła w przedszkolu w Kristiansand (Norwegia) swoboda, na jaką pozwalano dzieciom. Gdy jeden z maluchów zawisł na wahałkowych drzwiach między salami, nauczyciel podszedł, spytał o coś i poszedł, a chłopiec po chwili zszedł sam. – *U nas przedszkolanka zaraz zdjęłaby dziecko w obawie, że spadnie. Inne niż w Polsce było też wyjście z grupą 5-latków do lasu przy fiordzie. Dzieci grzecznie szły ulicą około kilometra, a później, gdy nauczyciel dał im znać, że mogą się rozbiec, zapanował pozorny chaos – jedne dzieci wchodziły na drzewa, inne bawiły się zabawkami w błocie. W pewnym momencie kilka osób dostało finki i zaczęło strugać patyczki. Na pytanie o ryzyko wypadku powiedziano mi, że dzieciom przed każdym wyjściem do znużenia powtarza się, że ulicą idzie się karnie, że biegać można tylko np. „do kamienia”, że można używać szczyryka, ale wtedy nie wolno biegać. I dzieci to zapamiętują.*

Według badaczy pamięci dużo dobrych wspomnień z dzieciństwa wiąże się z wycieczkami na łono natury z rodzicami albo kolegami. – *Zabawa na dworze daje więcej możliwości interakcyjnych niż w domu, bo „podwórkowa” społeczność jest płynna, wymusza nawiązywanie kontaktu z różnymi dziećmi tu i teraz. Ale czasy się zmieniły, moje doświadczenia jako 9-latki są nieporównywalne z doświadczeniami mojej wnuczki w tym wieku. Z bratem biegałam po ulicach Wrocławia pełnego gruzów, pójście za nieznaną zakręt było dla nas jak odkrywanie nowego świata. Dziś dzieci bombardowane są tyloma informacjami, że trudniej je zaskoczyć – mówi prof. Hajnicz. Nadal jednak kontakt z naturą może zadziwić i zapewnić inspirację.*

Leśne przedszkola

Przyroda stanowi dla laickich Skandynawów namiastkę świętości. W dodatku czują się jej częścią. Ponieważ szacunku do niej najlepiej uczy się, przebywając na jej łonie, w Skandynawii pojawił się pomysł na przedszkola, w których dzieci cały

dzień spędzają w lesie. Stało się o nich głośno kilka lat temu, gdy do jednego trafiła trzyletnia córka księżniczki Victorii. „Tylko w Skandynawii zabawa patykami, obiad pod płachtą brezentu czy robienie kupy do dołka w lesie przystoi nawet księżniczce” – pisze Åkeson McGurk. Ale ta idea wyszła poza Skandynawię, u nas też jest kilka takich placówek, a prof. Tuszyńska od lat edukuje niechętnych wychodzeniu na dwór nauczycieli, by nie bali się spacerów. – *Każda wycieczka powinna czegoś uczyć, ale należy być elastycznym, co zaobserwowałam w leśnym przedszkolu w Norwegii. Nauczycielka zaplanowała lekcję o owadach, jednak gdy chłopiec znalazł dżdżownicę, która dzieci bardziej zainteresowała, nauczyciel pozwolił, by o niej dyskutować. Ta tzw. pedagogika martwej myszy – na którą zawsze można trafić i która odciągnie od planowanego tematu zajęć – wiąże się z teorią zakładającą, że wiedza jest konstruowana przez indywidualne doświadczenie dziecka, a nie gotowe odpowiedzi przekazywane przez nauczyciela, który powinien uczyć się razem z dziećmi; nie odpowiadać, kiedy czegoś nie wie, i nie dawać gotowych odpowiedzi, jeśli dzieci mogą same do tego dojść.*

Polacy nie czują się częścią natury, raczej jej gospodarzami, ale deklarują pozytywny stosunek do niej. Magdalena Kołodziejaska z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie w doktoracie „Zespół deficytu natury. O znaczeniu kontaktu z przyrodą dla rozwoju dziecka u progu szkoły” odnotowuje, że według Globalnego Raportu Ogrodniczego „Husquarna 2013” aż 85 proc. Polaków twierdzi, że natura poprawia jakość ich życia, a według 60 proc. – dzieci spędzają na jej łonie za mało czasu. Ale tylko 10 proc. polskich rodziców regularnie zabiera je do lasu, a 14 proc. chodzi z nimi do parku, jakby to zadanie zrzucali na szkoły. – *Z dziećmi należy wychodzić również, gdy pada śnieg czy deszcz, bo świat jest wtedy inny i też trzeba go doświadczyć. To zresztą jest w podstawie programowej, tylko niechętnie realizowane. Ale badania Magdy Kołodziejaskiej czy publikacje, takie jak „Kalosze pełne kijanek” Scotta D. Sampsona lub „Ostatnie dziecko lasu” Richarda Louwa, pokazują, że kontakt z naturą jest niezbędny do prawidłowego rozwoju i do tego, by dziecko wyrosło na odważnego, kreatywnego i odpowiedzialnego człowieka – podkreśla prof. Tuszyńska.*

Czym innym jest pytanie, kiedy należy pozwolić dziecku na samodzielne wychodzenie. Czy będę dobrą matką, gdy odsunę czarne scenariusze rodem z kronik policyjnych i szpitalnych izb przyjęć i wypuszczę sześciolatka, by popróbowal swoich sił, czy gdy zatrzymam go w domu? Linda Åkeson McGurk pisze, że dzieciom nie należy zapewniać maksymalnego bezpieczeństwa, ale wystarczające, bo tylko wtedy będą miały swobodę rozwoju. Prawda jest jednak taka, że czasy się zmieniają, nie wszędzie jest tak samo bezpiecznie – chociażby ze względu na ruch samochodowy – więc samemu trzeba określić stopień ryzyka. I nawet jeśli zawsze znajdą się mądrzejsi, którzy skrytykują nasz wybór, po prostu trzeba to zrobić. Dla dobra dzieci.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA